**N^er 4.** **Kraków 15 lutego 1869.** **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

**Rubryki stałe:** Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

# KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd z opisami dołącza się każdego 1go.

**Ekspedycyja** dla miasta Krakowa: w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński.

**Listy** należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.



## Historja sztuki dramatycznéj.

STUDIUM F. H.

### WSTĘP.

„Obraz Janusa przed oczy Ci stawię:
Z téj strony Cię zasmucę a z tamtéj zabawię.
Ludzkość gra w śmiechu i boleści karty
W poważne sprawy mieszać lubi żarty.
Na szumach głębin, na wyżyn obłoku
Rozlewam życie ludzkie Twemu oku;
Ty widząc, jak się balet ludzkości przemienia,
Wzbogacisz duszę skarbem doświadczenia,
Bo kto na całość uwagą zwrócony,
W tym spór wewnętrzny jak Argus uśpiony".
(Szyller. — Hołd sztuk. — tłom. F. H.)

Taki daje obraz sztuki dramatycznéj mistrz dramatu niemieckiego Szyller. Dramat ma być zwierciadłem życia: więc grę boleści i radości ma przedstawić. I choć różnie, przeróżnie określono życie — ja śmię powiedzieć wobec sądu czytających, że życie ludzkie jest piękną różą z wielkiemi cierniami. Lecz sztuka dramatyczna, aby była sztuką — według orzeczenia Szyllera — ma przedstawić życie ludzkie nie w jego zgrzebnych łachmanach powszedniości, jak to bardzo wiele „sztuk" dzisiejszéj daty czyni, lecz w osłonie idealnéj — jak to u Greków było. Dramat bowiem jest najpiękniejszym kwiatem poezyi, a ta prawdę czyli ideał ma za istotę swą. Prawda życia to istota dramatu. A jeżeli prawda, co powiedział Platon, że „człowiek jest małym światem", to życie jego jest odbiciem zjawisk świata. A jak w świecie przyrody po słońcu ciemność, po nocy dzień, tak i w życiu ludzkiém łzy mieszają się ze śmiechem, czasem słońce radości osusza łzy boleści. Za każdą chwilę pogodną szczęścia musi człowiek przypłacić burzą nieszczęścia, za każdą łzę cierpienia odnosi perłę pociechy; za zaprzanie się całego życia religia obiecuje zachwyt nieba w życiu wieczném. Tę grę prawa psychologicznego przedstawia nam dramat: przeważali pierwiastek smutku, staje się trajedyą; przemagali żywioł żywioł wesoły, mamy komedyją. Jedna i druga jest atoli wiernym obrazem życia ujętym z przeciwnego stanowiska.

Zastanawiając się nad historyą dramatu, musimy znów sięgnąć do źródła prawd psychologicznych. Dramat obrazuje życie narodu, ludzkości. A że ludzkość a względnie naród, jest zbiorowym człowiekiem, więc według tych samych praw rozwija się jego żywot, co i życie pojedynczego człowieka. Każdy naród ma swą dobę niemowlęctwa, w któréj tylko kwileniem religijnéj pieśni życie swe objawia, ma lata dziecieństwa, gdzie z naiwnością ogląda świat i porządek jego, podziwia jego widok w poematach, w których o sobie nic nie wie — dola epiczna; — ma lata młodzieńcze, gdzie żywą duszę obejmuje świat, a nie mogąc strawić jego cierni, skarży się w elegiach, trenach lub też unosząc się natchnioną duszą w świat ideałów, kąpie się w morzu piękna i śpiewa o cnocie, wielkości, poświęceniu się, miłości — doba liryczna; nareszcie dochodzi do lat męzkich, gdzie wrząca jego dusza syta kąpieli nadpowietrznéj bierze się do czynu — i tworzy arcydzieła — doba dramatyczna. Jeżeli te fazy rozwoju widoczne w życiu każdego narodu, to tém wyrazistsze w życiu Greków — bo naród grecki rozwijał się, rósł i żył jak jeden człowiek, bez przedziałek kastowości i rodu. — W Helladzie był tylko obywatel i żył na agora tj. na rynku dla ojczyzny, któréj służył mieczem, piórem, słowem, krwią, nauką i sztuką. To też naród ten skończył żywot swój polityczny jak wielki mąż, co pamięcią swą uczy pokolenia. Rzym snadź na to podbił świat, aby go Grecyja ucywilizowała i przysposobiła do przyjęcia wiary Chrystusowéj. Mając to przekonanie o Grekach, śmiem zajmować uwagę Sz. Czytelniczek ich rzeczami, sądząc, że one nie wiedzą nic o téj śmiesznéj zasadzie zabawnych wieków średnich: *graeca sunt non leguntur*, t. z. to greckie rzeczy, więc ich się nie czyta I zaiste na przekór krzykom żurnalowych filozofów na Grekę, świat grecki ma tyle różnobarwnych tęcz prawd i piękna dotąd światu nie pokazanych, że i ten rodzaj ludzi, których filologami, nudziarzami zowię, trochę potrzebny, aby „nudziarską" pracą wydobył te tęcze uroczе i roztoczył je przed oczyma współczesnych. Zaprawdę — trudna podróż nurka, ale za bogatą perłą, którą ozdobił słynny słowiański śpiewak nasz ukochany Bohdan swój poemat „Duch od stepu", mówiąc o Grekach:

W grosikach swoich tam Helleni
Rozkoszują w rajskiéj pieśni
Co im dzień po dniu nie śni!...
Czarodzieje a cieleśni!

Sz. Czytelniczki znają teatr. Któraźto nie jest lubowniczką świata? a teatr jego obrazem. Ale może nie każda zna urodziny téj wspaniałéj córy Muz. Mojém zadaniem tedy będzie podać genezę teatru: Kiedy, gdzie i z jakich pierwiastków powstał, co się będę starał o ile ramy dziennika pozwalają obszernie wykazać. Tu więc zaczniemy od Greków, od nich udamy się do Romy, a potém zabiorę uwagę Czytelniczek na rydwan niestrudzonéj ciekawości — i rzemiennym dyszlem oprowadzę po krainach Wschodu, Chin i Indyj, aby i tam zobaczyć co do naszego wątku rzeczy należy; wreszcie drogą chronologicznego porządku, wrócimy do wieków średnich i tu w krajach germańskich i polskim przypatrzymy się jasełkom tak ulubionéj u nas sztuki.

O znaczeniu i wpływie teatru na obyczaje pisało już tyle uczonych mężów, więc do ich prac Czytelniczki pragnące sobie rzecz o teatrze uzupełnić, odsélam.

(Ciąg d. nast.)

## Do młodéj dziewczyny.

Kochaj dziewczyno! oh! kochaj szczérze,
Prababek Twoich, święte pacierze!
Czcij pamięć ojców — bo ojce twoi,
Bieli orłowie w skrzydlatéj zbroi:
To męczennicy przeświętéj sprawy,
Lub bohaterzy z szańców Warszawy!

A potém kmiece ukochaj chaty,
Boś córą ludu dziewczę liljowe,
Bo przed ich nizką strzechą przed laty,
Król — ojciec chłopków pochylał głowę!

Ukochaj lud ten dzielny, poczciwy,
O złotém sercu — w siermiędze siwéj!
Co na głos wodza pod Racławice
Na miecz przekował lśniące kosice!

Kochaj wrzeciono! bo przy wrzecionie
Siedziała nieraz pani w koronie,
I srebrne pasma snuła bez sromu
Na przyozdobek Bożego domu.

A nadewszystko miłością czystą,
Kochaj a kochaj ziemię ojczystą!
I kiedy padnie godzina czarna,
Dla niéj jak gołąb stań się ofiarna.

A gdy na wielkich łask swych zadatki
Bóg da ci nosić nazwisko matki:
To wtedy, wtedy niech twój maleńki
Miast cacek, szablę weźmie do ręki!
Rycerską zbroję włóż mu pod głowę,
Do snu mu pieśni śpiewaj bojowe,
Niech już w kołysce marzy zuchwale
O dawnéj sławie — o przyszłéj chwale.

*Wł. Bełza.*

## Złote kajdany.

Ze starych pamiętników przepisał

***Tadeusz Sławiński.***

Żwawa i ochocza zabawa przeciągnęła się wśród powszechnéj wesołości nad wszelkie spodziewanie bardzo długo. Dopiero o brzasku porannym po trzeciéj nieprzespanéj nocy rozjeżdżali się powoli goście, jeszcze na saniach ściskając serdecznie solenizanta i powtarzając po raz setny szczére życzenie. Tylko mój wyjazd przewlókł się o kilka godzin aż do późnego popołudnia, dla dwu bardzo wymownych przyczyn. Najpierw bowiem byłem rodzonym bratem solenizanta, a potém były to pierwsze moje odwiedziny w jego domu, odkąd ożeniwszy się, osiadł stale w swéj wiosce Zagrodówce. Do tego jeszcze dzieliła nas obu przestrzeń kilkunastomilowa fatalnéj drogi prywatnéj, nadzieja więc wątpliwa przyszłych odwiedzin blizkich nie łudziła mnie wcale, a tém samém opóźniła mocno przykrą chwilę rozstania.

Szczęście mego brata Adama przy boku młodéj pięknéj żony Józi, ład i wzorowy porządek w domu i całém gospodarstwie, co było widocznym skutkiem obecności troskliwéj i pracowitéj gospodyni, dziwne sprawiły na mnie wrażenie. Byłem jeszcze dotąd kawalerem, wiodłem komiczne w takim stanie życie koczownicze, cygańskie. Nie dziw więc, że widząc spokojnie domowe życie Adama, tak gęsto i bogato przeplatane promiennemi chwilami prawdziwego szczęścia familijnego, uczułem w sobie jakiś niepojęty wybuch goryczy, smutku, a może nawet zazdrości.

— Nie zasłużyłeś sobie na te powinszowania i życzenia, któremi cię niedawno tak sowicie obsypano, rzekłem do Adama, ubierając się w obszerne futro niedźwiedzie. Życzyć ci większego szczęścia wobec tego, które się z każdego kątka do ciebie dzisiaj uśmiecha, byłoby istotnie największém bluźnierstwem.

Adam spojrzał wzrokiem pełnym zachwytu i głębokiéj radości na stojącą obok niego zapłonioną Józię, a potém odwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Dobre za nadobne — fortuna jest ślepą, ale byłaby przytém i bardzo głupią, gdyby się jeszcze

dalej do ciebie mizdrzyła, skoro wszystkie jéj przyjacielskie usługi tak niegrzecznie odrzucasz. Dlatego téż Władysławie nawet nie spodziewaj się nikogo z nas u ciebie w dzień twoich imienin. Dla czegóż, bo...

Przerwałem skwapliwie to rozpoczęte zdanie hałaśliwém odszukiwaniem zawieruszonego szala, w którego obszernych i szerokich zwojach utonęły niebawem uszy i cała połowa mego nosa. Przeczuwałem, że przez to przesadne zabezpieczenie od mrozu najskrajniejszych nawet członków ciała, pozbawiam własną osobę wszelkich kształtów istoty ludzkiéj; utwierdził mię w tém mniemaniu złośliwy uśmiech gospodarza i gospodyni, a przecież mimo to rad byłem, że chociaż nawet kosztem méj własnéj osoby nie dałem bratu dokończyć zaczętego już zdania. Wiedziałem bowiem, że po łagodném skarceniu méj nieporadności i łagodnych przymówkach, skończy tém stereotypowém wezwaniem: żeń się już raz przecież.

Dlaczego tak wstrętném było dla mnie to wezwanie, natychmiast się wytłumaczę. Jeszcze w szkołach gimnazyjalnych przebyłem różne miłostki, a na wszechnicy poznawszy dobrze nawet wszystkie możliwe awantury sercowe, układałem plany wyprawy po żonę. — Z dwudziestym czwartym rokiem jednak — odtąd osiadłem na wsi — zmieniłem się do niepoznania. Z trzpiota, stałem się sęsatem, miejsce gorączkowego zajęcia się płcią piękną, zajęła zimna obojętność z wstrętem z początku, późniéj z zimną obojętnością przylgnąłem tak do samotnego życia kawalerskiego, że mimo ubiegłych czteru lat, nie odzyskałem dotąd mego dawnego usposobienia.

Ten tak anormalny stan mego serca przywiódłby mię już nieraz do rozpaczy, gdybym nie był tak zagorzałym zwolennikiem przestarzałéj i zarzuconéj już nauki — metampsychozy, że zasady jéj odnoszę do serca. Zapewne za jakiś wybryk młodzieńczy skazane zostało moje serce na kilkoletnią wędrówkę. Wróci ono kiedyś po odbytéj pokutniczéj pielgrzymce i zapuka do swego dawnego pomieszkania. Oczekuję z pewném upragnieniem téj błogiéj chwili, ale przed jéj nadejściem nigdy nie myślę o ożenieniu i staram się unikać napomnień w tym względzie.

Otóż i przyczyna prawdziwa, dla któréj przerwałem bratu w jego mowie i bojąc się jeszcze ciągle jéj dalszego ciągu, zebrałem się jaknajspieszniéj, pożegnałem jeszcze raz miłe rodzeństwo i siadłszy prędko w sanie, kazałem Kostkowi tęgo zaciąć konie.

Sanie lekko pomykały po gładkim śniegu z szybkością lokomotywy. Zmierzch wieczorny dopędził nas dopiero po przebytych sześciu milach, a więc trzeciéj części drogi do mojéj zagrody Grabowia. Otulony w przestworne ciepłe futro, rozgrzany jeszcze bardziéj pospieszną jazdą, zapomniałem na chwilę, że jestem w podróży. Kostek tożsamo rozmarzony gorzałką, trzymał lejce machinalnie, a senne powieki układał do miłego spoczynku. Marzyliśmy obaj. Ja myślałem, że siedzę w domu, w ciepłym pokoju, z fajką w ustach przy czarnéj kawie, jemu zaś roił się zapewnie w głowie prażnik u grabowieckiego księdza, gdzie zawsze między czeladzią ważną odgrywał rolę i najdzielniéj ze wszystkich wódkę spijał.

Z słodkiego marzenia ocknął nas dopiero nagły skręt drogi, gubiącéj się w długim bardzo lesie, gdzie sanie zawadziwszy o pień sterczący, omal, że z nami do głębokiego rowu nie zbiegły. Las, który przy najprędszéj jeździe dopiero w godzinę przebiedz było można, słynny z gęstych przypadków i rozbojów, noc nadzwyczaj ciemna — wszystko to nakazywało nam zabrać się do dalszéj podróży z większą przezornością i uwagą.

W kilka minut potém usłyszałem daleki, głuchy tętent koni od strony, ku któréj nasza droga zmierzała.

Na kilkaset kroków przed nami wybiegło z prawéj strony dwóch jeźdźców, którzy przebiegłszy szybkim galopem dość szeroką dróżynę, zgubili się zaraz w przeciwległéj gęstwinie leśnéj. W nocy późnéj, w lesie, słynnym już z niejednego smutnego wypadku, widok podobny zatrwożyłby niezawodnie i najzapamiętalszego zagorzalca. Widok przeciwnika, z którym się otwarcie do boju występuje, wznieca męztwo, nawet u nie bardzo śmiałych z natury, zasadzka każda, choćby najsłabszego wroga, zdola nawet i śmiałków przejąć zwątpieniem i obawą. Tyle na usprawiedliwienie méj lękliwości, wywołanéj tajemniczem pojawieniem się i zniknięciem nagłém dwóch jeźdźców, którzy nawet zdala wydali mi się bardzo dobrze uzbrojeni.

— Będzie kłopot — rzekł do mnie Kostek.

— Pędź, choćby nawet konie nieżywe za lasem paść miały — odrzekłem i sięgnąłem do kieszeni, by się przekonać, czy rewolwer mój w pogotowiu.

— Cztery strzały — myślałem sobie — wystarczą na dwóch przeciwników.

Już pełen otuchy, prawie spokojny; gdy wtém inny nowy widok obudził w spotęgowanym stopniu dawną trwogę.

Dwaj jezdzcy, co nam naprzód przez drogę wybiegli, pojawili się nagle za mojemi plecami o kilkadziesiąt kroków i w najprędszym galopie bardziéj do nas się zbliżali. W znaczniejszéj odległości na przodzie ujrzałem całkiem podobnych dwóch ludzi tak samo nawet uzbrojonych. Różne sygnały, któremi się oba oddziały porozumiewały między sobą, rozwiały ostatnią nadzieję i otuchę.

Widocznie — pomyślałem — jest to jakaś szajka zbójów. Ułożyli tak doskonale zasadzkę, by na nas równocześnie z przodu i z tyłu natrzeć. Cztery strzały za mało!

W téj saméj chwili ziściły się moje domysły. Kostek wypuścił lejce ze strachu, konie zalęknione toż samo stanęły.

Do sani przystąpiło dwóch ludzi na dzielnych koniach. Obaj byli ubrani jednakowo, w krótkie tuniki podbite czarnemi barankami i w kozackich czapkach. Jeden z nich był już stary, ale twarz pomarszczona zamaszystym siwym wąsem i marsowatym wyrazem, budziła więcéj postrachu i grozy niżeli szacunku. Pistolety w olstrze, na ramieniu dubeltówki upewniały mię jeszcze ciągle mimo poważnéj i poczciwéj zresztą fizyognomii mych napastników, że stoję obok bandytów.

— Aresztuję pana — rzekł starszy wiekiem — a jak po tonie rozkazującym i uległéj minie reszty jego towarzyszów wnosić było można i starszy rangą napastnik.

— Aresztuję pana — powtórzył dobitnie — widząc, że patrzę na niego niedowierzająco, z uśmiechem lekkim, jakby na waryjata.

— Zanadto legalnie — rzekłem — pełnisz pan swoje rzemiosło. Worek mój próżny — bierz się pan więc do dzieła.

Mój przeciwnik dziko się zachmurzył, z oczu iskry gniewu tryskały.

— Na taką odpowiedź rzekł i położył rękę na pistolecie — zwykłem dopiero odpowiadać kulą nie jak rozbójnik, ale jak zaczepiony przez rozbójnika, który mi honor wydziera. Ale pan nie powiedziałeś tego z przekonania, bo mię znasz doskonale i wiesz, że nie jestem rozbójnikiem. Chcesz się maskować, ale daremna! Aresztuję pana!

Wypuściłem na te słowa z rąk mój rewolwer.

— To nie rozbójnicy, pomyślałem, ale co gorsza, waryjaci.

— Nie wiem — rzekłem głosem pewnym i dobitnym — co to za fatalne nieporozumienie. Wracam od brata mego z imienin, jadę po raz pierwszy przez tę okolicę i...

Spojrzałem na moich przeciwników. Obaj śmiali się lekko z moich słów.

— I nie wiesz pan, za co go aresztuję — rzekł stary bandyta i wybuchnął głośnym śmiechem. — Mówimy z sobą, jakbyśmy po raz pierwszy się widzieli. No więc grajmy już do końca tę komedję. Aresztuję pana za to, że przekroczyłeś mimo rozkazu tę granicę austryjacką?

Obaj rycerze a nawet i tamci co dotąd całkiem na uboczu stali, parsknęli głośnym śmiechem.

— Dobrze umie udawać, szepnął stary przywódzca do stojącego obok niego towarzysza.

— Poczciwe panisko — mówili do siebie obaj inni — zawsze mu figle i żarty w głowie.

— Przekroczyłeś pan granicę Królewskiéj-Woli rzekł dowódzca z szczególnym naciskiem na wypowiedzianą nazwę wsi. Teraz pan już pewno wszystko pojmujesz. Więc w drogę z Bogiem!

Roześmiałem się teraz dopiero bardzo serdecznie, na całe gardło.

Jacyś filuci zadrwili ze mnie trochę, a teraz każą jechać. Krzyknąłem więc swobodnie bez wszelkiego za to gniewu.

— No, Kostek w drogę!

Ale na koźle nie było już Kostka. Jeden z czteru uzbrojonych usiadł na kożle i skręcił w wązką drożynę na lewo. Oglądnąłem się do koła. Kostek siedział na jakichś cudzych saniach, a obok niego w asystencyi groźnéj jeden z nieprzyjacielskiego obozu.

— Tęgi z niego komedyjant — szeptał śmiejący się dowódzca do swego towarzysza.

Rzucałem się niecierpliwie na mojém siedzeniu.

— Tego już za dużo — rzekł dowódzca — daléj już nas to i śmieszyć przestanie. Wiemy już, że z pana dzielny komedyjant. A teraz w drogę do Królewskiéj-Woli panie Stanisławie.

Ostatnie słowo wymówił dobitnie z dobitniejszym jeszcze giestem. Teraz dopiero wpadłem na trop ostatecznego wyjaśnienia téj zawikłanéj sprawy.

— Stanisławie?... rzekłem śmieléj. Jesteście panowie w wielkim błędzie, bo imię moje Władysław. Łudzi was może jakieś niezwykłe podobieństwo twarzy. Ale przecież nie ma w świecie dwóch listków całkiem podobnych do siebie, zkądżeż mieliby dwaj obcy sobie ludzie tak być podobnymi do siebie, by ich nikt odróżnić nie mógł. Przypatrzcie się tylko lepiéj, a może mimo ciemności nocnéj poznacie, że nie jestem tym Stanisławem, którego, jak widać, szukacie.

Towarzysz dowódzcy siedzący na koźle, wstrzymał na te moje słowa konie, ja zaś z wielką mozołą próbowałem rozwiązać szal, który na nieszczęście tak silnie otulił kołnierzem futrzanym twarz całą, że napróżno się szamotałem. Dowódzca skinął na furmana, konie popędziły jeszcze prędzéj leśną drożyną.

— Pan Stanisław — rzekł dowódzca spojrzawszy na mnie od niechcenia i ruszywszy ramionami z politowaniem — nie miał wprawdzie brody, ale w potrzebie nagłéj, mógł jéj sobie u fryzyjera pożyczyć.

— Ależ to broda prawdziwa — rzekłem rozpaczliwym tonem i jeszcze rozpaczliwszym zamachem ręki wyciągnąłem duży kosmyk brody zpod kołnierza wysokiego.

— Dobrze przyprawiona — rzekł dowódzca i zaśmiał się znowu dobrodusznie.

— Panie! krzyknąłem groźnie.

— Ależ panie! — odpowiedział mój przeciwnik wcale tém nieulękniony. — Pan Dominik nie zetnie panu głowy, chociaż może odmówi ręki panny Jadwigi.

Tu spojrzał na mnie badawczym wzrokiem. Roze-

śmiałem się na tę groźbę. Cóż znaczy dla mnie utrata ręki panny, której nie znałem i nigdy nie widziałem?

— Ależ mój panie — rzekłem, zły i wesoły zarazem — co też pana tak silnie w tym błędzie utwierdza, że jestem Stanisławem?

— Zmieniłeś pan — rzekł dowódzca — ubiór, konie, twarz i furmana, a zapomniałeś zostawić te żółte sanie, po których poznałbym cię nawet w piekle samém.

— Moje sanie żółte — krzyknąłem przeraźliwie — nie zielone? Otóż przekonaj się pan, że masz słabe oczy i zaczepiasz niepotrzebnie niewinnych ludzi po drodze.

— Otóż przekonaj się pan — rzekł przeciwnik tryumfująco — że posuwasz za daleko tę maskaradę i zapomniałeś wziąść inne sanie.

Schyliłem się, by zobaczyć obkładnie kolor mych sani. Osłupiałem ze zdziwienia i strachu, sanie moje były żółte, chociaż takich w życiu mojém nigdy nie miałem.

— To czary! krzyczałem. To sprawa djabelska.

Pewny byłem teraz, że moi przeciwnicy są djabli. Ha, więc przekroczyłem granicę Królewskiéj Woli, a te zapawne należą do jakiegoś klucza lucyperowskiego. Wyciągnąłem się jak długi z rozpaczy na mojém siedzeniu i zamknąwszy oczy, wietrzyłem z dala smrodliwy dym i zapach smoły.

Jechaliśmy przez chwilę szalonym pędem. Las opuszczał nas, prosta, doskonała droga rozścielała się przed nami.

— Tak musi być a nie inaczéj, myślałem. Lucypera nazwał ten jegomość jakimś panem Dominikiem, a jego córkę Jadwigą. Pan Bóg chce mnie ciężko pokarać i pewnie dadzą mi za żonę jakąś osmoloną djablicę.

— Kostek! Kostek! — krzyczałem, ile tylko mi gardła stało.

Kostek leżał na saniach, które krok w krok za nami biegły, ale ani szmerem nawet nie odpowiedział na moje okropne wołanie. Wszyscy napastnicy śmiali się i szeptali pomiędzy sobą.

— Kostek śpi jak zabity — odpowiedział mi jeden z nich.

Ostatnia nadzieja pociechy upadła. Taka to szkaradna natura ludzka, że jéj koniecznie potrzeba wspólnictwa niedoli. Człowiek w nieszczęściu widząc innego, nad którym ten smutny los zawisł, jest zawsze spokojniejszym. Widok spólnika nieszczęścia nie potęguje w człowieku boleści, lecz owszem jeszcze ją śmierzy i łagodzi. Gdy mnie w szkole samemu klęczeć kazano, płakałem rzewnie, gdy mi dodano towarzysza, byłem prawie weselszym niż kiedy indziéj i wśród klęczenia płatałem daléj figle i psoty.

Gdybym był w téj chwili widział Kostka w podobnéj rozpaczy, pocieszyłbym się nieco. Odpowiedź moich napastników, że Kostek śpi spokojnie, przywiodła mię do ostatniéj rozpaczy. W zupełném otrętwieniu, z głową przepełnioną strasznemi, dziwacznemi rojeniami dałem się machinalnie wieść daléj aż pod same wrota piekielne.

Mimo szlachetnego pędu koni dopiero około północy opuściliśmy straszną pustynię. Ocknąłem się dopiero tutaj z mego snu nienaturalnego. Księżyc wschodzący rozwidnił nam i tak już dobrą drogą jechaliśmy jeszcze prędzéj. Przetarłszy zaspane oczy, spojrzałem przed siebie, myśląc, że już zdala ujrzę moją skromną strzechę, ale zamiast niéj, zobaczyłem o ćwierć mili przed nami na wyniosłém wzgórzu szare mury dużego gmachu. Widok ten od razu rozproszył senne myśli i przypomniał mi smutną rzeczywistość. Popatrzyłem po raz drugi dłużéj i ciekawiéj na bliski gmach i odgadłem, że on jest celem méj awanturniczéj jazdy. Zdawało mi się, że siła jakaś czarodziejska przeniosła mię w średnie wieki. Tajemnicze miny uzbrojonych dziwacznie napastników moich, zawiła zagadkowość całéj téj awantury, wreszcie ponury i dziki widok gmachu, niby zamku rycerskiego, łatwo mię aż do tego stopnia złudzić mogły.

O kilkanaście kroków od dworu mógłem już przy jasném świetle księżycowém doskonale przypatrzyć się jego całéj budowie. Był to gmach dziwacznie nieforemnych kształtów, szary brudem długich wieków, wykuty zda się z jednéj ogromnéj bryły kamiennéj. Gmach był jednopiętrowy, ale plecami olbrzymiemi wspierał się jak to sobie zdala wyobrażałem, na jeszcze większym dwupiętrowym, z którego wyzierało tylko drugie piętro z kilkoma małemi gęsto okratowanemi oknami. Przypatrzywszy się bliżéj, poznałem dopiero, że wysterczające drugie piętro, było tylko późniejszém przybudowaniem na strych czy więzienie. Ostatnie przypuszczenie wydało mi się w méj imaginacyi przepełnionéj samemi straszliwemi dziwadłami o wiele prawdopodobniejszém. Cały gmach był dokoła otoczony grubym murowanym parkanem, z przodu zasłonięty ogromną dębową bramą, co wszystko zrobiło go podobniejszym do jakiejś fortecy lub więzienia niżeli pałacu.

Zajęty całkiem oglądaniem tego dziwnego budynku, na chwilę nawet mocno rozciekawiony tym widokiem, zapomniałem zupełnie o położeniu smutném, w jakiém się obecnie znajduję. Z marzenia tego obudził mię dopiero przeraźliwy jęk dzwonka. Dowódzca mojéj eskorty stał już przy bramie, ręką wsparty na żelaznym drucie, do którego końca przymocowany dzwonek wydawał ten jęk przeraźliwy. W pierwszéj chwili chciałem jeszcze ponowić moje tłumaczenie, wyprowadzić siebie i moich nieprzyjaciół z błędu, ale myśli moje przerwał jeszcze przeraźliwszy głos roztwierającéj się bramy. Dowódzca porozumiawszy się krótkim, cichym szeptem z barczystym odźwiernym, dał znak woźnicy. W okamgnieniu stanęły sanie na dziedzieńcu przed gankiem.

— Jakżeż rozkazał? rzekł dowódzca głośno do po-

stępującego za nami zaspanego odźwiernego. — Do bastylij czy pod dach ołowiany?

Bastylja, dach ołowiany! Oba te słowa raziły mię jakby piorunem! W strachu tym zapomniałem nawet, że dzięki Bogu i rewolucyi francuskiéj bastylja od dawna nie istniała już wcale. Mimo tęgiego mrozu, który mię mógł jak najmocniéj upewnić, że nie jestem w Wenecyi, widziałem już w duchu całą okropną grozę ołowianego poddasza.

— Do bastylij — odpowiedział szorstkim głosem odźwierny.

Ołowiane poddasze zniknęło już mojéj zastraszonéJ wyobraźni, ale natomiast z podwójną okropnością stanął przedemną obraz bastylij.

— Proszę — rzekł do mnie dowódzca.

— Bastylja! To okropna! myślałem, idąc zwolna ciemnym korytarzem za moim przewodnikiem, co chwila potykając się o długie poły mego niedźwiedziego futra. Wreszcie otwarły się drzwi przedemną.

Jedno oko miałem zupełnie pokryte szronem mroźnym, a drugiém widziałem tylko wysterczający ogromnie do góry kołnierz mego futra i szal szeroki. Nie mogłem tedy żadną miarą dostrzedz wszystkich okropności owéj więziennéj celi, które w fantazyi do potwornéj wielkości urosły. Martwym i ociężałym krokiem postąpiłem naprzód. W téj chwili trzasnął mój dozorca silnemi drzwiami i dwa razy zakręcił kluczem w zamku.

Kajdany, tortury, szubienica, zimno, głód i wszystkie inne przykre niespodzianki więziennego życia tłumem uderzyły mi do głowy. Stałem martwy, skamieniały, nic nie widząc i nic nie słysząc.

— Boże mój! myślałem. Wpadłem niezasłużenie w jakąś szkaradną, plugawą jaskinię łotrów, z któréj przemocy nawet twoja opieka wyratować mnie nie może. (C. d. n.)

## JASKÓŁCE.

(MŁODÉJ POETCE.)

Jaskółko-ptaszę! i cóż ja Tobie
Nieznanéj, obcy przyniosę?
Ja zwiędłe kwiaty zbieram na grobie,
Ty pijesz niebieską rosę!

Jaskółko-ptaszę! gdy pierś omdleje,
Cierń stopę zrani nam bosą:
Ty wieść nam wiosnę, wlewaj nadzieję,
Niebieską rzeźwij nas rosą!

*Wł. Bełza.*

## W jesieni.

Piękna — ale smutna ta królowa,
Wczoraj jeszcze kwiaty w jéj warkoczach,
Dzisiaj taka poważna, surowa...
Z djamentów łza błyszczy w jéj oczach —
Wczoraj uśmiech — dziś cisza grobowa....

Tak niedawno — przy kaskad szeptaniu
Zasypiała z kwiatami u czoła,
O miłości marząc i kochaniu —
Dziś smutnego ma postać anioła,
Pieśń jéj słychać w łabędzi konaniu....

Tak niedawno jeszcze, swywolnica
Z motylami kwiatom rosę piła —
Jéj pieśniami brzmiała okolica,
Kogo chciała, oczami podbiła,
Dziś — wśród grobów klęczy — pokutnica.

Liść pożółkły na skronie upada,
Pieśń jéj smutna jak wiatru śpiewanie
I nie szumi spieniona kaskada....
Cicha — idzie może na spotkanie
Oblubieńca — ale smutna... blada!

Olszyny 1868.

*Aleksander.*

## Nie jesteśmy sobie nic winni.

Komedya w 1. akcie.

przez

*Adama Belcikowskiego.*

(Dokończenie.)

SCENA XI.

EDMUND. — P. KĄKOLNICKI.

P. KĄKOLNICKI.

Przecież ochłódłem....

EDMUND.

(nie widząc go) Dalibóg, śmiać się muszę z téj awantury. Tamta łzy wylewa — ten rozpacza nad swą niewiernością — ni z tego ni z owego mię wyzywa — ha, ha!

P. KĄKOLNICKI.

(spostrzegłszy go, ze zdziwieniem) Co ci się stało, kochany sąsiedzie? Śmiejesz się sam do siebie?...

EDMUND.

I pan byś uczynił to samo, gdybyś tu był przed chwilą. Ale pan o tém nic nie wiész....

P. KĄKOLNICKI.

O czém ja nie wiem?...

EDMUND.

Wyobraź sobie pan, że pańska córka łzy wylewa....

P. KĄKOLNICKI.

Co takiego?!

EDMUND.

Że panna Cecylia płacze nad niewiernością Ludwika....

P. KĄKOLNICKI.

Jakto?.. co?.. nie rozumiem!

EDMUND.

I ja tak samo nie mogę pojąć téj romantycznéj sceny, ale to jest pewna, że pańska córka, która ma być moją żoną, rozpacza z tego powodu, że pan Ludwik jéj się sprzeniewierzył.

P. KĄKOLNICKI

A ten Ludwik, ten młokos przeklęty, ten inżynier, ten postępowiec, ten zarozumialec! Nie bierz tego na seryo, kochany sąsiedzie. Ostatniéj zimy nie wiedzieć, skąd przyczepił się do nas w Warszawie. Zaczął się fertać koło Cecylii, wzdychać, przewracać oczami itd. itd. Ale ani ja, ani moja córka nie myśleliśmy nigdy, żeby to mogło do czego doprowadzić. Bo pojmujesz dobrze, że to wcale nie partja dla Cecylii. Że on tam sobie nabił czémś głowę, to nie bierz tego na seryo, kochany sąsiedzie....

EDMUND.

Ja też nie biorę na seryo. Na tego rodzaju sielankowe, półstudenckie romanse nie zważają ludzie rozsądni. Jednakże, ponieważ panna Cecylia płakała....

P. KĄKOLNICKI.

Płakała!... Ej, gdzie tam, nie płakała, o coby ona mogła płakać?

EDMUND.

Ludwik tak mi powiadał....

P. KĄKOLNICKI.

Kłamał! dalibóg, kłamał!

EDMUND.

I z tego powodu wyzwał mię na pojedynek....

P. KĄKOLNICKI.

Co, na pojedynek?.. ponieważ moja córka płakała? Tego mi jeszcze brakowało, żeby ten szaleniec popełniał w moim domu rozboje! Otóż to być grzecznym dla tych gołych wiercipiętów i nie pokazać im drzwi za pierwszą wizytą, potém ci córkę rozbeczą, zięcia zabiją, a ojca, dalibóg, do grobu wtrącą!... Ale gdzie jest ta przeklęta dziewczyna, co tak tkliwie umie płakać — niech się nam tu wytłómaczy! Gdzie jest ten awanturnik, co chce krew rozlewać! Dam ja mu, odejdzie go ochota do czułych scen i pojedynków!... Ah — ci ludzie bez rozumu o chorobę człowieka przyprawią.... Cesiu! Cesiu!.. niewdzięczna córko!... Uf! (rzuca się na krzesło. Cecylia wchodzi)

## SCENA XII.

P. KĄKOLNICKI. — EDMUND. — CECYLIA.

CECYLIA.

Cóż to papie?...

P. KĄKOLNICKI.

A jesteś!... (zrywa się z krzesła) O coś ty płakała? powiedz!...

CECYLIA.

Ja?...

P. KĄKOLNICKI.

Tak, ty! O coś tu łzy wylewała przed panem Edmundem?...

CECYLIA.

Przed panem Edmundem?...

P. KĄKOLNICKI.

Przed nim, czy przed kim innym, to wszystko jedno — dość żeś wylewała! Ja ci powiadam, ten Ludwik, te jego amory, te twoje łzy, to wszystko djabła warte, a ten pojedynek....

CECYLIA.

Pojedynek!...

P. KĄKOLNICKI.

Ten pojedynek, który dla lepszego efektu między sobą ułożyliście, skończy się na tém, że... że ja pana Ludwika nauczę, co to pojedynek.

CECYLIA.

Przestraszasz mię, papo.... Jaki pojedynek?... (do Edmunda) z panem?

EDMUND.

Tak pani, ze mną.

CECYLIA.

Cóż dało powód?

EDMUND.

Ta niewinna okoliczność, że jestem pani narzeczonym.

CECYLIA. (d. s.)

Więc tak?... (głośno) Ależ to straszne!.. my na to nie pozwolimy.

P. KĄKOLNICKI.

Piękna historyja! Pojedynki, trupy, cała awantura w moim domu!... Otóż to młodzież tegoczesna: pretensyi, zarozumiałości bez miary, a rozumu ani krzty. A temu wszystkiemu tyś winna.

CECYLIA.

Ja, mój ojcze?...

P. KĄKOLNICKI.

Tak, ty! Pocoś przed nim łzy wylewała!

CECYLIA.

Nie gniewaj się, papo. Są w życiu przejścia, przy których nie uronić łzy, nie trzebaby być kobietą. Gdybyś był widział jego cierpienie, jego rozpacz.... (d. s.) Ah, ta niegodziwa wdówka!

P. KĄKOLNICKI.

Poezja, moja kochana, poezja! Należało mu powie-

dzieć: jesteś waćpan.... Tak należało mu powiedzieć. Ale dość tego. Panie Edmundzie, pójdziemy za tym awanturnikiem. Niech się jak najprędzéj z mego domu wynosi — niech się wynosi, bo inaczéj.... To kara boska!.. co za gorąco, co za gorąco! uf! Spieszmy — spieszmy panie Edmundzie! (zmierza ku drzwiom na lewo)

EDMUND.

Dokąd pan idziesz?

P. KĄKOLNICKI.

Prawda, to mój pokój... ja już głowę tracę.

EDMUND.

Pan Ludwik wyszedł do ogrodu.

P. KĄKOLNICKI.

Spieszmy do ogrodu, gońmy za nim! (wychodzą obaj)

## SCENA XIII.

CECYLIA. (sama)

A przecież on mię kocha!... W sercu ludzkiém odbywają się tajemnice, z których człowiek sam przed sobą sprawy zdać nie umié. Biédny Ludwik!... Zaczynam go pojmować.... Z rozpaczy rzucił się na łono innéj miłości, ale tam... w głębi duszy... ja pozostałam. Czyżby inaczéj bił się z Edmundem?... Dawne rany się odnowiły, i chce je zagoić choćby we krwi własnéj.... Nie mogę łez powstrzymać... biedny Ludwik!... (Aniela wchodzi)

## SCENA XIV.

CECYLIA. — ANIELA.

ANIELA.

Ty tu sama, Cesiu? gdzież reszta towarzystwa? Cóż się to znaczy?.. masz chusteczkę przy oczach?...

CECYLIA.

Oh, ja jestem bardzo zmartwiona!...

ANIELA.

Cóż się stało?...

CECYLIA.

Nieszczęście!...

ANIELA.

Zatrważasz mię, moja droga!...

CECYLIA.

(łkając) Biedny Ludwik!...

ANIELA.

Co?... Ludwik!... O Boże!...

CECYLIA.

(łkając) Pojedynek!...

ANIELA.

Oh, nie spodziewałam się tego!... Z Edmundem?...

CECYLIA.

Tak jest. Wyobraź sobie, kochana kuzynko, Ludwik wyzwał pana Edmunda... chce się z nim strzélać....

ANIELA.

Cóż za fatalne nieporozumienie!...

CECYLIA.

Fatalny zbieg okoliczności! Lecz cóż ja temu winna?...

ANIELA.

Cóżbyś ty miała być winna!

CECYLIA.

Sądziłam, że będzie miał więcéj rozsądku... i zdawało się nawet....

ANIELA.

Jestto zazdrość bez najmniejszego powodu....

CECYLIA.

Bez powodu?.. Mylisz się kuzynko, szalona miłość jest tego powodem....

ANIELA.

Przecież Edmund musiał mu całą rzecz wyjaśnić....

CECYLIA.

I to go właśnie do szaleństwa doprowadziło....

ANIELA.

Tego już nie rozumiem!

CECYLIA.

Kiedy Ludwik dowiedział się, że mam iść za Edmunda....

ANIELA.

Ty myślisz, że Ludwik chce się bić o ciebie?

CECYLIA.

Naturalnie.

ANIELA.

Ty się mylisz bardzo. To o mnie!

CECYLIA.

O ciebie?!..

ANIELA.

Tak jest.

CECYLIA.

Wszak Edmund jest moim narzeczonym....

ANIELA.

Od trzech tygodni. Przed trzema zaś jeszcze miesiącami starał się o moją rękę. Nie mówiłam ci o tém, ale tak było. Szczególnym jakimś wypadkiem się stało, że oboje zmieniliśmy zdanie... lecz Ludwik widać tego nie zrozumiał.

CECYLIA.

Kuzynko, ty jesteś w błędzie.

ANIELA.

Nie ja, lecz ty. Jakiżby powód miał Ludwik pojedynkować się o ciebie?...

CECYLIA.

Jaki powód?... Są wspomnienia, które nigdy w duszy ludzkiéj nie zamiérają. Pierwsze lepsze wydarzenie budzi je i wskrzesza z martwych. W ten sposób obudziła się dawna miłość w Ludwiku....

ANIELA.

Dawna miłość!... On mi o tém nigdy nie wspo-

mniał.... Ale to być nie może... on kocha mnie... on mi przysięgał.... Jeszcze zagranicą układaliśmy błogie plany przyszłości... wyznaczyli prawie dzień ślubu....

CECYLIA.

Rozmaitego rodzaju są uczucia, i nie każda kobieta zdolna wzbudzić jednakowe. Dzisiejsze wydarzenie może cię najlepiéj przekonać kuzynko, którą z nas Ludwik kocha. Dziś nie ma on już nadziei pozyskać mojéj ręki, jest z tobą związany słowem, a przecież.... Dziwaczném jest to serce ludzkie — nieprawdaż?...

ANIELA.

O zdrajca niegodny!... Może ty masz słuszność... nie darmo tak spiesznie wrócił z zagranicy... zostałam oszukaną!... (rzuca się na krzesło) Tryumfuj teraz nade mną, Cecyljo! (P. Kąkolnicki wchodzi)

## SCENA XV.

CECYLIA. — ANIELA. — P. KĄKOLNICKI.

P. KĄKOLNICKI.

Przepadł jak kamień w wodę. Uf! co za gorąco. Ja się rozchoruję przez tego człowieka. (siada na krześle, ociera się chustką) Niechajże trochę wypocznę. (spostrzegając Anielę i Cecylią, patrzy z kolei na jednę i na drugą) Otóż to piękna historya, moje panie: jedna z zapłakanemi oczami, druga jak bez duszy. A, macie teraz moje panie, czego zawsze pragniecie: macie wzruszenia, awantury, sceny — a wszystkiemu winien ten inżynier!...

ANIELA.

O ja nieszczęśliwa!...

P. KĄKOLNICKI. (trochę zdziwiony)

Kochana kuzynko, to współczucię z twojéj strony mocno nas obowiązuje, jednakże bądź pani spokojna, my sobie damy z nim radę, i raz na zawsze wybiję mu z głowy wszelkie pretensye do mojéj córki....

ANIELA.

Ah, to okropnie!

P. KĄKOLNICKI.

Cóż ci jest? kochana kuzynko.

ANIELA.

(tuląc się do krzesła) Jam go tak kochała, a on mię zdradził, nie pomny méj dobroci... nie pomny swoich przysięg!

P. KĄKOLNICKI. (wstaje)

Co ja znowu słyszę!... Czy wszyscy dziś poszaleli z miłości?... Czy to znów ten inżynier, ten awanturnik?

ANIELA.

Tak, mój kuzynie. Ten zdrajca ten potwór, ten niegodziwy człowiek, co nadużył méj wiary — to Ludwik!

P. KĄKOLNICKI.

On!... Ah, gdybym go teraz mógł dostać!... Tego już nadto!... Otóż widzicie, moje panie, jak to postępują ci zapaleńcy, ta dzisiejsza rozumna młodzież.... Jednę bałamuci, chce się o nią strzelać, drugą opszcza i zdradza, a trzecia... ba, musi być trzecia, czwarta, piąta i dziesiąta! To włosy na głowie powstają! (wchodzi Edmund)

## SCENA XVI.

CECYLIA. — ANIELA. — P. KĄKOLNICKI. — EDMUND.

EDMUND.

Ludwik nie powrócił?...

P. KĄKOLNICKI.

Nie ma go, nie ma tego Don-Jouana! Patrzaj pan, nie dosyć mu było Cecylii, ciebie i mnie — oto jeszcze nowa jego ofiara!

EDMUND. (przystępując do Anieli)

Pani Anielo, więc to on?...

ANIELA.

Tak, to on!... Na Boga proszę, nie urągaj mi pan!

EDMUND.

Szalony człowiek! Teraz już całkiem nie pojmuję, dla czego chciał się bić ze mną.

ANIELA.

Spytaj pan o to Cecylii!

EDMUND.

Moi państwo, ta cała awantura daje mi wiele do myślenia... może być, że pan Ludwik nie zupełnie przy zdrowych zmysłach działał.... Nie trwóżcie się państwo zawcześnie, lecz przychodzi mi na myśl, że idąc koło stawu spostrzegłem.... rękawiczkę pływającą po wodzie....

ANIELA. (zrywa się z krzesła)

Boże mój! może się utopił!...

CECYLIA.

Co pan mówisz, panie Edmundzie!...

EDMUND.

Ja nie robię żadnych domysłów, ale zdaje mi się, że rąkawiczka do niego należała....

P. KĄKOLNICKI.

Otóż masz znowu świeży kłopot! Czy nie mógł sobie znaleść gdzieindziéj wody!... Spieszmy panie Edmundzie — czy żywy czy umarły, muszę go nauczyć rozumu, że porządni ludzie nie pojedynkują się i nie topią — zwłaszcza na cudzém terrytoryum!

CECELIA.

Oh Boże, co za nieszczęście, spieszmy, spieszmy! (P. Kąkolnicki, Edmund i Cecylia wychodzą do ogrodu.)

## SCENA XVII.

ANIELA. (sama)

Co za okropny wypadek!.. na dnie stawu spoczywa teraz martwy... z bladém obliczém... nieszczęśliwy Ludwik!... Wyrzuty sumienia popchnęły go do tego rozpacznego kroku... nie można bezkarnie zdradzać i ranić kochającego serca.... Lecz czegóż ja tu stoję!...

wszyscy poszli go ratować, a ja zostałam?... O biedny, biédny!... ja wszystko ci przebaczę, ale żyj, żyj!... (zbliża się szybkim krokiem do drzwi, gdzie spotyka Ludwika)

## SCENA XVIII.

ANIELA. — LUDWIK.

ANIELA.

(chwytając go za rękę) Ty żyjesz Ludwiku, ty żyjesz?

LUDWIK.

Anielo, nie rozumiem tego pytania....

ANIELA.

Ty jesteś taki smutny... pomieszany.... Ja ci wszystko przebaczam tylko żyj, żyj!...

LUDWIK.

O czém pani mówisz?...

ANIELA.

Ty miałeś myśli samobójcze....

LUDWIK.

Ja?...

ANIELA.

Pojmuję twoje położenie.... Ale dla czegóż zwątpiłeś do tego stopnia o méj dobroci....

LUDWIK.

Anielo, mów do mnie jaśniéj....

ANIELA.

Nie chcesz się przyznać... o nie zapieraj się, to mnie uspokoi, będę pewniejszą, że się wyrzekłeś téj myśli....

LUDWIK.

Ależ ja mówię na seryo, że cię nie rozumiem.

ANIELA.

A twoja rękawiczka, którą widziano na stawie?...

LUDWIK.

A, rękawiczka! W bardzo złym humorze wyszedłem na ogród... ze złości może zdarłem rękawiczkę z ręki i rzuciłem ją precz od siebie z dość wielkim zamachem, nie wiedząc nawet, czy padła na staw, czy na trawę. Bądź spokojną Anielo, myśl samobójstwa nie przeszła mi przez głowę.

ANIELA.

Więc to tak było?... (odstępując od niego) Idź pan precz z moich oczu!

LUDWIK.

Co tobie jest, Anielo?...

ANIELA.

Zbyt ironiczne pytanie! Pan sam lepiéj niż ja powinieneś o tém wiedzieć.

LUDWIK.

(chce się do niéj zbliżyć) Ależ na Boga!...

ANIELA.

Zostań pan tam! Doznałam od ciebie największéj zniewagi, jakiéj może doznać kobieta.... zostałam przez ciebie oszukaną i użytą za chwilową rozrywkę kapryśnego uczucia.

LUDWIK.

To nieprawda! Któż rzucił na mnie tę potwarz?

ANIELA.

Ty sam. Dla czego pan tak prędko wróciłeś z zagranicy?

LUDWIK.

Powód tego bardzo naturalny....

ANIELA.

Mianowicie?...

LUDWIK.

Zabrakło mi pieniędzy.

ANIELA.

Tak?... I na to również będzie panu łatwo znaleść tłómaczenie, dla czego przybyłeś do tego domu?

LUDWIK.

W tym domu przed tém dość często bywałem — byłto więc prosty obowiązek grzeczności.

ANIELA.

Nic więcéj?...

LUDWIK.

Dla czego mię tak badasz?

ANIELA.

Pan bledniejesz... mięszasz się... proszę mi powiedzieć całą prawdę!

LUDWIK.

Dobrze. Ta prawda będzie za mną tylko przemawiać. Widzę, że wiesz o mojéj znajomości z panną Cecylią....

ANIELA.

Nazwij to pan inaczéj!

LUDWIK.

Niech i tak będzie — o mojéj miłości. Nie zapieram, przed poznaniem ciebie czułem ją dla Cecylii. Pokochawszy ciebie, mając zostać twym mężem, zdradziłem ją — czyliż miałem jeszcze łudzić?... Przybyłem tu z zamiarem zupełnego z nią zerwania i wyznałem otwarcie, że kocham inną....

ANIELA.

A potem wyzwałeś pan na pojedynek jéj narzeczonego....

LUDWIK.

To prawda....

ANIELA.

Powiedz mi pan, jak jedno z drugiém pogodzić?...

LUDWIK.

To nie trudno wytłómaczyć. Jest w człowieku silniejsze od miłości uczucie — uczucie własnéj winy. Po uczynioném wyznaniu widziałem rozpacz i cierpienie Cecylii... niedługo potém dowiedziałem się, że ma poślubić Edmunda... poślubić go wtenczas, kiedy mnie kochała.... Bo musiała kochać, jeźli moja spowiedź zrobiła na niéj tak bolesne wrażenie. Ujrzałem w niéj ofiarę ludzkiéj nieczułości, którą ja w téj okropnéj chwili haniebnie opuszczałem.... Dziwny szał mię ogar-

nął... byłbym się wtenczas bił z całym światem nietylko z Edmundem, bo uczułem wstręt do życia — bom sobą pogardzał!...

ANIELA.

Czy pan to mówisz szczérze?

LUDWIK.

Widzisz pani, że nawet siebie nie oszczędzam.

ANIELA.

Panie Ludwiku, muszę ci powiedzieć, że źle zrozumiałeś swe położenie, że twój żal był zupełnie zbyteczny.

LUDWIK.

Jak to pani rozumiesz?

ANIELA.

Znam dokładnie całą tę sprawę. Cecylia opowiedziała mi wszystko z wszelką otwartością. Było to jeszcze przed twojém tutaj przybyciem. Przyszły związek z Edmundem ułożony został z jéj własną wolą i chęcią.

LUDWIK.

Toż samo powiadał mi także Edmund.

ANIELA.

Dla czegóż mu pan nie wierzyłeś?

LUDWIK.

Nie zwykliśmy wierzyć swym przeciwnikom. Chociażby to było fałszem, Edmund nie mógł mówić inaczéj.

ANIELA.

Przez zbytnią przezorność nie uwierzyłeś pan prawdzie.

LUDWIK.

Ależ rozpacz Cecylii?.. jéj łzy?...

ANIELA.

Czy pan sądzisz, że znasz dobrze tę istotę, która się kobietą nazywa?... Podobno tak my kobiety jak i wy mężczyźni pozostaniemy dla siebie wieczną zagadką. Może być, iż na tém wiele zyskujemy wzajemnie, jak w tym naprzykład wypadku, ja kobieta inaczéjbym sobie wytłómaczyła łzy Cecylii, w których ty ujrzałeś sączące się rany zbolałego serca.

LUDWIK.

Więc to było udanie?...

ANIELA.

Tego nie mówię.

LUDWIK.

Lecz pani sądzisz, że Cecylia nie cierpi z mego powodu?...

ANIELA.

Jakim sposobem? Wszak sama równocześnie z tobą, a może nawet wcześniéj, zapomniała o waszéj idyllicznéj miłości.... Podobnych obłoczków bardzo wiele przepływa bez śladu po naszém niebie....

LUDWIK.

Gdybym miał pewność, że tak jest w istocie — o wtenczas....

ANIELA.

Uczułbyś się bardzo nieszczęśliwym?...

LUDWIK.

Najszczęśliwszym w świecie! Wtenczas wiedziałbym, iż mi wolno bez wyrzutu używać szczęścia przy tobie!

ANIELA.

Podaj mi rękę, panie Ludwiku.

LUDWIK.

Ty się nie gniewasz, Anielo?...

ANIELA.

Nie... jeśli prawdę mówisz.

LUDWIK.

Najszczérszą prawdę, Anielo! (całując jéj rękę uklęka. Cecylia wchodzi)

## SCENA XIX.

ANIEA. — LUDWIK. — CECYLIA.

CECYLIA.

(w głębi) Nie ma go!.. nigdzie nie ma! Co widzę?... na kolanach przed nią!... Ona miała słuszność — on ją kocha!... O, muszę mu wszystko powiedzieć! (zbliża się) Dzięki Bogu, panie Ludwiku, jesteś w zupełnie bezpieczném miejscu, a my drżeliśmy o twoje życie.

LUDWIK. (powstając)

Darujcie mi państwo. Czuję, że moje dzisiejsze postępki zasługują na naganę.

CECYLIA.

Dla czegóż było tak nagle opuszczać nasze towarzystwo? gdzież pan bywałeś?

LUDWIK.

Uczułem potrzebę świeżego powietrza, chłodniejszéj temperatury... krew była we mnie nazbyt wzburzona. I ten lekki chłód wieczorny zbawiennie na mnie podziałał. Moja głowa ochłonęła... jaśniejszym wzrokiem zacząłem na świat spoglądać. Teraz czuję się już prawie zupełnie dobrze....

CECYLIA.

Umysł pański przyszedł do normalnego stanu... a, to dobrze!...

LUDWIK.

Tak, pani. Po większéj części mam to także zawdzięczyć pani Anieli....

CECYLIA.

Czy tak?... Moja kuzynka, jak się zdaje, posiada dar léczenia duszy.... Ale słuchaj panie Ludwiku, ja winnam dokończyć zaczętéj z panem rozmowy. Byłoby to niesprawiedliwością, utrzymywać pana w fałszywém mniemaniu.

LUDWIK.

W istocie rozmowa nasza przed chwilą nie była wystarczającą, i nie w porę została przerwaną. Ja sam tylko mówiłem, ja sam zrobiłem wyznanie swego stanu duszy... zapomnieliśmy, żeś i pani powinna była toż samo uczynić....

CECYLIA.

Pan byłeś ze mną zupełnie otwarty. Czuję się w obowiązku odpłacić ci równą monetą. Wyznałeś szczérze, iż pokochałeś inną kobietę, którą, jak się późniéj dowiedziałam, jest moja kuzynka Aniela...

LUDWIK.

Tak jest, nie mylisz się pani. Uniesienie, z jakiém przyjęłaś moje słowa, było powodem przerwania naszéj rozmowy, i wszystkich moich następnych czynności.

CECYLIA.

Przyznaję się do winy, postąpiłam nierozważnie i niesłusznie. Nie miałam prawa robić panu wyrzutów, ale to com z twych ust słyszała, było dla mnie tak niespodziane... żem mogła się zapomnieć i unieść. Może fałszywie wytłómaczyłeś sobie pan moje zachowanie się w owéj chwili; w rzeczywistości jednak pańskie wyznanie nie zrobiło na mnie takiego wrażenia, jakie widać moja osoba pokazywała. Bądź pan pewien, że to nie była rozpaczająca miłość....

LUDWIK.

Oh, pani!...

CECYLIA.

Z przyczyn, o których już w owéj rozmowie napomknęłam, i ja również w czasie niebytności pańskiéj zmieniłam zamiary względem swojéj przyszłości i pan Edmund otrzymał ode mnie saméj przyrzeczenie méj ręki. W chwili, w któréj pan przedemną stanąłeś, nie mogłam już w żadnéj przez ciebie kochanéj kobiecie znaleść rywalki....

LUDWIK.

O dzięki ci pani za tę szczérość! Ona uwalnia mą duszę od bolesnych zgryzot. Więc pani o nic mię nie oskarżasz?

CECYLIA.

O nic zupełnie.

LUDWIK.

Wszystko zatem co przeszło możemy pogrzebać w wiecznéj niepamięci. Błądziliśmy kiedyś nierozważnym szałem, zbłądziliśmy dzisiaj brakiem zastanowienia i krwi zimnéj — w obojgu nas było po części trochę winy, a więc oboje nie mamy sobie nic do wyrzucenia, nie jesteśmy sobie nic winni.

CECYLIA.

Tak, nie jesteśmy sobie nic winni.

LUDWIK.

Zmieniły się uczucia tak jednéj jak i drugiéj strony, ale ponieważ los zrządził, że żadna przez to nie została zdradzoną, więc możemy sobie podać rękę zgody, przebaczyć nawzajem, bo i pod tym względem nie jesteśmy sobie nic winni.

CECYLIA.

Tak jest, panie Ludwiku. (podaje mu rękę, Ludwik ją całuje)

ANIELA.

Brawo, moi państwo, porozumieliście się prędko i dokładnie. A my, moja Cesiu, czy sobie nie podamy ręki? I my nie jesteśmy sobie nic winne — pomieniałyśmy się na naszych przyszłych mężów, ale każda jest z téj zamiany zadowoloną. (ściskają się — p. Kąkolnicki z rękawiczką w ręku i Edmund wchodzą z ogrodu)

## SCENA XX.

ANIELA. CECYLIA. LUDWIK. P. KĄKOLNICKI EDMUND.

P. KĄKOLNICKI. (we drzwiach)

A, otóż jest ten zdrajca, ten krwiożerca, ten pojedynkowicz, ten zarozumialec!... (przystępuje do Ludwika z groźną miną) Mój panie!...

LUDWIK.

Domyślam się, co pan chcesz powiedzieć... proszę o przebaczenie....

P. KĄKOLNICKI.

Hę?...

LUDWIK.

Proszę mi wybaczyć mój nierozsądny postępek, za który ze skruszoném sercem żałuję.

P. KĄKOLNICKI.

Pan tedy powiadasz, iż żałujesz?...

LUDWIK.

Tak panie, z całéj duszy.

P. KĄKOLNICKI.

I nie myślisz pojedynkować się z panem Edmundem?...

LUDWIK.

Od téj chwili zależeć to będzie tylko od niego.

P. KĄKOLNICKI.

A, to co innego, mój panie, to co innego! Jesteś rozumnym człowiekiem, panie Ludwiku, jesteś bardzo rozumnym człowiekiem! (ściska go za rękę) Zgładziłeś pan zupełnie swoją winę.

EDMUND.

Byłem pewny, że świeże powietrze wyléczy pana z téj niespodzianéj gorączki.

LUDWIK.

Małe nieporozumienie zamąciło moje pojęcia. Ale teraz, po krótkiéj rozmowie z temi paniami, wszyscy widzimy rzeczy jasno i wyraźnie.

P. KĄKOLNICKI.

A, to prawda, na wszystkich widać wielką zmianę. Ty już nie masz czerwonych oczu, moja Cesiu, a ciebie, kochana kuzynko, już opuściły mdłości — obie się uśmiechacie, jakby wam wszystko poszło podług życzenia. To dobrze, to dobrze! Ale, bo téż podobne wzruszenia dużo człowieka kosztują, i dziwi mię tylko, że po tylu scenach i awanturach, dotąd się nie rozchorowałem.

EDMUND.

Podziękuj pan memu rozsądkowi, że ci więcéj takich scen nie przysporzyłem.

P. KĄKOLNICKI.

A to skąd znowu? panie Edmundzie.

EDMUND.

Gdybym chciał był iść za przykładem pana Ludwika, powinienem go był wyzwać na pojedynek....

P. KĄKOLNICKI.

Bój się Boga!.. znowu na pojedynek?.. a to za co?

EDMUND.

Ale my postąpiliśmy rozsądniéj, pani Anielo, i porozumieliśmy się od razu.

P. KĄKOLNICKI.

A to tak! Niech was Pan Bóg kocha, zrobiliście prawdziwy chaos z temi paniami. Ale teraz o pojedynku nie ma już mowy. Dla mojéj spokojności podajcie sobie ręce, podajcie sobie ręce... tak!

EDMUND.

Nie mamy sobie nic do wyrzucenia!

LUDWIK.

Nie jesteśmy sobie nic winni! (ściskają się)

P. KĄKOLNICKI.

Ba! nie prawda, panie Ludwiku. Mam ci jeszcze oddać twoją rękawiczkę. Oto jest... corpus delicti! Jak wyschnie możesz jéj pan jeszcze używać. Kazałem ją wydobyć ze stawu, myśląc, że i ciebie za nią wyciągniemy. Któż pana wyratował?

LUDWIK.

Nie potrzebowałem bynajmniéj ratunku.

P. KĄKOLNICKI.

Nie chciałeś się topić?... Tém lepiéj, tém lepiéj! Przedewszystkiém zawsze zimna krew i rozsądek. Na co się zdadzą te szaleństwa, egzaltacye, zapały i gorączki, w które was wprawia ten tak nazwany wasz rozum i wykształcenie drażniące zbytecznie system nerwowy. — A teraz pójdźmy na herbatę — i pamiętajcie sobie moi państwo, żeby to była już ostatnia w waszém życiu zamiana, bo nie wszystkie mogą mieć tak dobry koniec.

## TOMASZ ZAN

**streszczenie prelekcyi W. POLA.**

Dnia 1go lutego r.b. o godzinie 8méj z wieczora, w sali Kassyna Rzemieślniczego w obec licznie zgromadzonéj publiczności wieszcz nasz, i profesor Wincenty Pol, miał prelekcyę o Tomaszu Zanie, jednym z najzacniejszych ludzi na Litwie, jednym z tych, co należeli do rozbudzenia ruchu umysłowego i literackiego w owéj części zagarnionéj Polski — a czynami i prawością wielką świecili jak gwiazdy przewodnie kolegom i towarzyszom swoim. Sądzimy więc, że streszczeniem téj prelekcyi — o ile nam pamięć posłużyć mogła, zrobimy nie małą przysługę pięknym czytelniczkom „Kaliny“, o ile, że mąż, o którym niżéj mówić będziemy, dzisiejszemu pokoleniu mało bardzo jest znany. Ta bowiem garstka towarzyszów, która otaczała Zana — znajdując się na wygnaniu lub w rozprószeniu, z obawy pogorszenia losu jego milczała — i późno dopiero po śmierci Zana, zebrani koledzy wydali „Pieśni Filaretów“, po większéj części przez samego Zana pisane — a krótki rys życia jego spotykamy dopiero w Żywocie i korespondencjach Zana, staraniem redakcyi „Wieńca“ wydanych tu w Krakowie 1863 r. Rzeczy te jednak tak mało znane są publiczności, iż prawdziwa wdzięczność należy się Szanownemu Prof. W. Polowi, iż słowem swojém wskrzesił tę szlachetną postać i tak żywo przedstawił ją umysłom naszym.

Radzibyśmy sercem całém, pomieścić w szpaltach „Kaliny“ to wszystko, co wyszło z ust Szan. Prof. Gdy jednak szczupły zakres naszego Pisma nie dozwala nam zbytecznie rozszerzać się nad tym przedmiotem— powiemy tylko, że po przedstawieniu ówczesnéj epoki, ówczesnego Uniwersytetu wileńskiego, wreszcie ogólnéj oświaty, Szanowny Profesor przeszedł wprost do skreślenia postaci Tomasza Zana, który słusznie dla mnogich zasług swoich nazwany został Janem Chrzcicielem nowéj literatury polskiéj.

Tomasz Zan syn ubogich ale zacnych rodziców urodził się d. 21 grudnia 1793 r. na Litwie nie opodal Mińska. Do roku 1815, pobierał on już to prywatne lekcye od diaka cerkiewnego Olesczkiewicza, już uczęszczał do szkół w Mołodecznéj, gdzie za wzorową pilność zapisany do złotéj księgi, ukończył chlubnie kursa nauk szkolnych. W roku 1815 wstąpił na wydział filozoficzny w Uniwersytecie wileńskim. A trzeba wiedzieć, czém był dla Litwy, ba, i dla wszystkich zabranych prowincyj wschodnich dawnéj Rzeczypospolitéj ten Uniwersytet?

„Nie znam możniéj uposażonego Uniwersytetu oprócz Oksfordzkiego, (mówi W. Pol w pamiętniku do Lit. pol. XIX. wieku) jak w owym czasie był Uniwersytet wileński“.

I w rzeczy saméj, przywileje tego Uniwersytetu były ogromne. Miał on władzę mianowania nauczycieli na cały okrąg zabranych prowincyj; — jakie dzieła drukował lub polecał — we wszystkich innych zakładach naukowych natychmiast były wprowadzane. W mury jego ściągała młodzież Litwy, Żmudzi, Wołynia, Podola i Ukrainy, tak, że liczba uczących się dochodziła do trzech tysięcy głów. Całéj téj młodzieży duszą i przewodnikiem był Tomasz Zan. Przedstawił on kolegom swoim, że w systemie rządu moskiewskiego leży zarodek wszelkiéj demoralizacyi, zapomocą któréj starają się oni stanowczy wpływ wywrzeć na zgangrenowanie umysłów i serc polskich.

W tymże więc czasie widzimy go zakładającego towarzystwo Filantropów — po rozwiązaniu go wskutek denucjacyi, towarzystwo Filaretów, niby filarów cnoty, nauki i nieposzlakowanéj zacności; a gdy i to towarzystwo na surowy rozkaz władzy wyższéj rozwiązane zostało, Zan zakłada trzecie towarzystwo Promienistych — tychże samych trzymające się zasad, co poprzednie, a tak nazwane od ustawy towarzystwa, która na okrągłéj tarczy w promieniach jakby od słońca idących wypisaną była.

Nie długo jednak i to ostatnie towarzystwo cieszyło się istnieniem swojém. Nowe denuncjacje zmusiły Zana do rozwiązania stowarzyszenia — wskutek czego członkowie jego rozeszli się, poprzysiągłszy pierwéj nie zdradzić nigdy tajemnicy związku. — Na posiedzeniu ostatniém wszystkie papiery i akta stowarzyszenia zostały spalone.

Związki te na oko nie miały żadnego politycznego znaczenia, w gruncie jednak rzeczy leżała wielka polityczna myśl, przez odrodzenie moralne dojścia odrodzenia politycznego — wiadoma jednak samemu tylko Zanowi.

Już lat kilka ubiegło, od czasu rozwiązania związku, gdy mała nader okoliczność pociągnęła za sobą liczne prześladowania i tysiączne ofiary. Jeden z uczniów gimnazjalnych nakreślił w szkole na tablicy: „wiwat Konstytucja 3 Maja 1791 r." Fakt ten spowodował nowe aresztowania, bo moskale radzi przytłumić najdrobniejszą iskierkę uczuć narodowych, w najmniejszéj téż iskierce widzą przepowiednię wielkiego pożaru. Tak i tu się stało. Rzecz napozór mała groźne wydała następstwa. Uwięziono Zana, Czeczota, Mickiewicza i wielu innych uczniów, dawnych członków towarzystwa Filaretów, których listę znaleziono u niejakiego Jankowskiego. Ten przytrzymany również i uwięziony z innymi, wydał wszystkich — a jakkolwiek szlachetny Zan przyjął całą odpowiedzialność téj zbrodni w oczach carskiego wysłańca Nowosilcowa — nieokupił tém jednak wolności swych towarzyszów, bo wielu z nich skazano w sołdaty — mnóstwo wysłano na Sybir, a Zana los i wyrok zagnał aż do Orenburga.

Biedny wygnaniec, żyjący jedynie z małéj kwoty karmowych pieniędzy, odwykł od wszelkich zbytkowniejszych potrzeb życia; tak, że jakto sam nawet pisze w liście do Mickiewicza, odzwyczaił się od mięsa — a innego napoju oprócz wody nie używa. Oddany wszystek pracy i dobrym uczynkom, pozyskał sobie niedługo szacunek i cześć powszechną. Wkrótce też dla rozległéj swéj wiedzy powołany został na profesora w Uniwersytecie Orenburgskim.

Ówczesny gubernator Orenburga niejaki Perowski, chociaż moskal zacny jednak człowiek, przywiązał się wielce do Zana. Zan bywał w jego domu, Perowski nie odwiedzał go jednak nigdy, z obawy ściągnięcia na siebie odpowiedzialności. Nie mało téż zdziwił się Zan, ujrzawszy pewnéj nocy przy łożu swojém stojącego w pełnym mundurze gubernatora ze światłem w ręku a ze łzą w oczach. Zaniepokojony zrywa się z łoża i pyta, coby te nadzwyczajne odwiedziny znaczyć miały? Generał jednak milczał.

„Tomaszu Karłowiczu, rzekł wreszcie — niosę ci wielką nowinę. Jesteś wolny. Niedziw więc, że od zbytku radości odrazu przyjść do słowa nie mogłem; a jak się cieszę z jednéj strony z waszego uwolnienia, tak smucę i płaczę z żalu tracąc tak zacnego męża i przyjaciela.

I nie dziwmy się temu rozczuleniu Perowskiego. Zan dla niego był Opatrznością, radą zdrową i ręką pomocną. Gdy razu pewnego plemiona Kirgizkie wystąpiły zbrojnie protestując przeciw niszczeniu podwyższonych podatków, Perowski przybiegł smutny do Zana i pytał co ma począć, o ile, że człowiek zacny i poczciwy — rozlewu krwi nie lubił. A że i wtym względzie nie mało wpływał nań nasz wygnaniec, więc też i tym razem nie dopuścił mu na żadne gwałty.

— Pozwólcie — ja pójdę i przemówię do nich, a może Bóg da, że i do posłuszeństwa przywiodę.

Poszedł bezbronny — a wrócił zwycięzki.

Dużoby się jeszcze dało powiedzieć o Zanie, gdy jednak miejsca tak niewiele nam dano — przyjmijcie i te słów kilka łaskawe czytelniczki — a może kiedyś w osobnéj książce poznacie się bliżéj z tą piękną dziejową postacią.

Na tém miejscu nie możemy lepiéj zakończyć tych słów kilku, jak prześlicznym wyjątkiem z pamiętników W. Pola, pod koniec prelekcyi odczytanym, który zarazem objaśni nam szczegóły uwolnienia i powrotu Zana do kraju.

Przytaczamy go tu w całości.

„Humbold wracając z naukowéj podróży, którą po środkowéj Azyi odbył, zjechał do Orenburga, gdzie się zatrzymał czas dłuższy, dla porównania obserwacyj astronomicznych i wykończenia dziennika podróży, podług wrażeń świeżo doznanych. Ta wyprawa naukowa należy niezawodnie do największych ekspedycyj naukowych wieku naszego. Wielki dwór wojskowych i uczonych otaczał Humbolda. Cały ten tabor był do wielkiéj karawany podobny, która z namiotami pod strażą wojskową posuwała się przez pustynie środkowéj Azyi. Jakoż i rezultaty naukowe są nie małe, które Humbold z téj podróży wraz z towarzyszami swymi wyniósł, i nie małe są skarby, których przysporzył Rosyi, wskazując formacje drogich kruszców i kamieni. Jak w całéj podróży tak i w Orenburgu było tedy wszystko na rozkazy Humbolda. Ale Humbold znalazł tu jednego człowieka tylko, który mu mógł odpowiadać na jego pytania naukowe, i który stał się odtąd nieodstępnym jego towarzyszem. Był nim Tomasz Zan. Jemu to

darował on autograf dziennika swojéj podróży i przyrzekł mu przy pożegnaniu starać się o uwolnienie jego.

Jakoż kiedy powrócił do Berlina wielki był wieczór na dworze królewskim. Cała rodzina królewska, ambasador rosyjski i wiele znakomitości naukowych zebrało się na wezwanie króla tego wieczora i wszyscy byli w oczekiwaniu tego, co Humbold o swojéj podróży opowiadać będzie.

Humbold nie zaniedbał korzystać z téj chwili i gdy go dowcipy lubiący następca tronu zapytał:

— A cóż ludzie, gdzie tyle osobliwych rzeczy dała natura? Jak ich znalazłeś? — Odpowiedział Humbold:

— Znalazłem człowieka znakomitego bardzo tak pod względem wysokiéj nauki, jak pod względem charakteru duszy, godnego lepszego losu. Jestto Polak wygnaniec, profesor w Orenburgu — Tomasz Zan. Po widokach pustyń środkowéj Azyi był on dla mnie w Orenburgu reprezentantem całéj Europy.

I zwracając się do króla dodał:

— Przyrzekłem mu przy odjeździe, że będę u króla mego prosił o wstawienie się do cesarza o łaskę dla niego.

Ambasador rosyjski pojął znaczenie téj prośby w chwili tak niepowszedniéj. Jakoż wstawił się król za Zanem i po niejakim czasie ogłoszono ukaz cesarski na Litwie, iż Tomasz Zan do łaski imperatorskiéj powrócony — powraca do ojczyzny, i że wszystkie jego dawniejsze przewinienia puszczone są w niepamięć.

Tyle, aby zrozumieć można scenę na pograniczu Białéj Rusi, gdy pocztowym wózkiem przybył Zan do pierwszéj wioski, w któréj był katolicki kościółek, wracając do ojczyzny z wygnania.— —

Ujrzawszy kościółek, kazał się zatrzymać poczcie i chciał w pierwszym Domu Bożym podziękować Niebu za swój powrót. Było to już dobrze z południa i kościółek był zamknięty. Udał się więc do kościelnego i prosił, aby mu otworzono kościół, a wszedłszy ukląkł na stopniach ołtarza i modlił się Bogu. Uderzyło to wszystkich we wsi i na plebanii, że ktoś z Rosyi jadący pocztą, o niezwykłym czasie kazał kościółek otworzyć. Jakoż udał się proboszcz do kościoła i spotkał już we drzwiach wychodzącego Zana. Spojrzeli sobie w oczy i rzucili się w objęcia. Był to X. Lwowicz, dawny towny towarzysz wspólnych cierpień, za karę na pogranicze do ubogiego probostwa zasłany, pierwszy Polak, który na ojczystéj ziemi powitał Zana i za całą Litwę przycisnął go do serca swego.

Po przywitaniach i ugoszczeniach pierwszych, oglądali obadwa znowu ubogi kościółek, Zan ubolewał nad opuszczeniem i ruiną jego.

Czy tu ludzie w Boga nie wierzą, że taki kościół opuszczony?

— Nie, rzekł mu Lwowicz — i owszem pobożni bardzo, ale tak ubodzy, że nawet nie śmiem wzywać pomocy ich dla kościoła.

— Słuchaj bracie, rzekł mu Zan. Ty tu wymurujesz kościół okazały — a na początek daję ci tę złotą tabakierkę, w tém przekonaniu, że Bóg błogosławieństwo przywiązuje do tego złota*).

Tu opowiedział księdzu, jak do téj tabakiery przyszedł i że ma to przeczucie, że ona będzie węgielnym kamieniem kościoła.

Synowie jednéj szkoły, bracia jednych natchnień zrozumieli się.

I ksiądz Lwowicz dobył złotówkę i rzekł do Zana:

— Nie masz ani kawałka ziemi. Otóż daję ci tę złotówkę w tém przekonaniu, że wieś za nią kupisz, abyś miał gdzie głowę po tém tułactwie położyć.

Jakoż rozszedł się po całéj Litwie odgłos elektrycznėm drgnieniem o powrocie Zana i spotkaniu jego z księdzem Lwowiczem na pograniczu w ubogim kościołku. A że chwile wielkich natchnień są prawdziwe i owocne, jest to najlepszym dowodem, że po upływie lat kilku postawił ks. Lwowicz okazały kościół w miejscu drewnianego, a Zan kupił wieś.

I cała Litwa wierzy w to, że ks. Lwowicz postawił kościół za ową tabakierę Zana — a Zan wieś kupił za ową złotówkę Lwowicza".

Tyle z pamiętnika.

Śmierć Zana nastąpiła d. 7 lipca 1855 r. Jak żył — tak zgasł cicho na łonie rodziny i przyjaciół, zostawiając wdowę i drobne osierociałe dziatki, a wreszcie kraj cały w nieutulonym smutku i żałobie.

*Wł. B—a.*

**TEATR.** — *„Na łasce zięcia"* — komedya w 4rech aktach przez pp. Th. Barrière i L. Thiboust, tłómaczona z francuzkiego p. Erazma Świerczewskiego.

Jestto farsa, w któréj od początku do końca autorowie naciągają wszystko do komiczności. Dosyć to jednak trudno przychodzi, bo pierwszy akt powtarza się w drugim, drugi i pierwszy w trzecim, a trzy pierwsze w czwartém. Ztąd wypada, że gdyby wyrzucić dwa akty — komiczność byłaby o wiele interesowniejszą. — Widocznie nie chodziło tutaj pp. Barrière i Thiboust o zainteresowanie publiczności, jakie wywołać może dobrze ułożona intryga, bo téj nie widzimy prawie — komiczność nie z sytuacyi lecz charakterów wzięta — jakkolwiek moze być komiczną i zajmującą, nie utrzyma nigdy sztuki na stanowisku komedyi wyższéj. — Honoryusz Beljames zbankrutowany kupiec na bawełnie, zmuszony krytycznėm położeniem szukać schronienia pod dachem swojego zięcia pana

*) W naukowych swych wędrówkach po górach Orenburgskich, Zan natrafił na obfite pokłady złota, i wyjednawszy zezwolenie Perowskiego dał je w darze jednemu z tamecznych kupców, który wiele świadczył dobrego dla naszych wygnańców. Żadnéj jednak zapłaty za dar tak znakomity wziąść nie chciał, i ledwie przyjął tabakierę z pierwszego wydobytego złota zrobioną.

Fontelais; niby nie wymagając nic od niego — bierze mu wszystko. Sługi odprawia — kaléczy mu konie — zaprowadza pewne oszczędności w gospodarstwie domowém — a główna rzecz chce mu odebrać miłość jego żony Marty. Na to wszystko p. Fontelais ciska się i niecierpliwi — a p. Beljames upatrując w każdém słowie przymókę do siebie — powtarza mu: ale masz pan słuszność panie zięciu — jestem na twojéj łasce — jem twój chléb — możesz mi zatém ubliżać, choć jestem ojcem twojéj żony. — Tymczasem buntuje Martę do czego pomagają mu pp. Beljameś i aptekarz Moutonet, serdeczny jego przyjaciel, pragnący ożenić syna swego Onezyma, kompletnego idyotę z drugą córką Beljames'a Blache'ą. — To wszystko może być i jest wreszcie komiczném, ale już w drugim akcie przestaje bawić i zajmować — w trzecim akcie kłótnia teścia i zięcia jest farsą tylko, a w ostatnim ani na komedyę ani na farsę nie ma miejsca. I koniecznie potrzeba na to Francuza, aby śmiać się dla tego, żeby śmiać się. Lecz widać, że i Polacy to lubią, bo teatr był pełny, a publiczność zentuzyazmowaną. — Dziwi nas to tém więcéj, że i gra samych artystów nie była należycie wystudyowaną — oprócz gry p. Rapackiego — przedstawienie wyglądało raczéj na generalną próbę. Pan Nowakowski (Moutonet) oprócz tego, że w kilku miejscach przekraczał tekst sztuki — przesadzał komikę — szczególniéj w pierwszym akcie, farsował nawet swoją rolę. Pan Benda od początku do końca był jednakowym — niecierpliwość z drażliwéj sytuacyi jego roli nic a nic nie potęgowała w nim uniesienia.

Szereg karnawałowych przedstawień zakończył „Gałganduch", czyli Trójka hultajska. — Odegrana doskonale — pani Rapacka bardzo ma głos milutki i dobrą szkołę; szkoda tylko, że sama jedna jest na naszéj scenie. Z końcem karnawału spodziewać się należy, że ujrzymy na scenie naszéj nie same tylko tłumaczenia, które krzywdę przynoszą krajowi i literaturze naszéj. Nie jesteśmy tak ubodzy, byśmy nawet porządnéj komedyi nie mieli. Należałoby może szczeréj i lepiéj szukać — a niezawodnie i co nowego mielibyśmy na scenie, czego z wielką niecierpliwością oczekujemy i spodziewać się mamy prawo. *D.*

---

*a. d.* **Kronika.** *Marylki* i *Wertery.* — *Bezik.* — *Śledzie* i *Kasyno literacko-artystyczne.* — *Po czém poznaje się illuminarzy krakowskich.*

Skończyła się wreszcie owa szalona galopada. Zwycięztwa karnawałowych fortänzerów należą już do historyi — a niedobiegłe małżeństwa i niedokończone romansiki, zaledwie błąkają się jako blade wspomnienia po rozmarzonych główkach panien. I oto popielec, mówi niejedna Marylka, a tu wśród tylu młodzieży, która dobijała się o pierwszeństwo kadryla; wśród tylu, którzy wszystkie frazesy romansów francuzkich wyczerpali, aby mi powiedzieć, żem piękna, że mam śliczne oczy, że uśmiech mój czarował ich. Wśród całéj téj falangi frakowych maryonetek... ani jeden, któryby przyszedł i na kolanach prosił o moją rękę!... O szkaradny ten ród romansowych bohatérów — ciężki, ospały i zdolny do giełdowych spekulacyi zaledwie.

Mój Boże — mówi znowu nieszczęśliwy Werter cierpiący wiecznie na sercowe palpitacye; karnawał skończył się, szał minął, a ja zaledwie doprowadziłem moje miłosne interesa do bardzo wątpliwego uścisku rączki, ledwie miałem czas rozbudzić ją (ideał) w różowym kolorze nie powiedziawszy nawet: „kocham cię". Tuziny takich Werterów pognbiwszy się wśród gonitwy karnawałowéj za posagami Marylek, spotykają się dzisiaj na czarnéj kawie u Zięby.... Nieszczęśliwe te ofiary, którym amorek poranił serca — poznają się po tém, że cierpią wzajemnie na galopujące suchoty w kieszeni. Jestto pewien rodzaj młodzieży de chic przeflancowanéj prosto z zachodu. — Widzieć ich można we wszystkich salonach i po kawiarniach — rezonujących o wszystkiém gdzie logika nie jest konieczną. Zagranica byłaby dla nich rajem, gdyby rządy zgodziły się na wypędzenie emigracyi — o któréj panicze owi mówią zawsze z pewnym rodzajem pogardy... bo to należy do dobrego tonu. Zresztą są to poczciwe dusze gotowe zawsze do — bezika i sześciu kijów pikiety.

A propos bezika uznajemy całą słuszność popierania tak przyjemnéj rozrywki towarzyskiéj — zwłaszcza w domu, gdzie mąż nudny, a żona nierozmawiająca. Siada się przy stoliku, patrzy w karty, mówi tyle tylko co potrzeba — a wieczorek jakoś przechodzi przyjemnie i nie bez korzyści — zwłaszcza teraz w poście, gdzie co dzień prawie piątek lub środa. — Jakiś przemysłowiec myśląc o tém, czerwonemi literami wypisał: kasztany włoskie pieczone — i sprzedaje takowe na pociechę smakoszom, przypominając zarazem straszną historyę postnego śledzia.

Jakkolwiek śledź, nawet przez dalekie związki nie jest nic a nic spokrewniony z kasynem literacko-artystyczném w Krakowie, zdaje się, że tak śledzie jak i kasyno na czas karnawału zatopiło się w Bałtyku... Post zapewne otworzy szereg uprojektowanych odczytów i prelekcyj — a wraz ze śledziem i literatura nie mało odżywi adwent. Nie jesteśmy nawet w obawie, abyśmy przesądzili obiecującą przyszłość już nie dla śledzi ale dla literatury— boć Kraków stał zawsze na wyżynach cywilizacyi, dla tego może nigdzie łatwiéj jak tutaj, spotkać się z jaką powagą literacką lub znakomitym artystą. Na chodniku A. B. jeśli cię kto potrąci łokciem, albo gdy cię kto niechcący nadeptnie na jakiéj zabawie a nie przeprosi — bądź pewien, że to jedna z powag tutejszych upomina się, abyś uczuł jéj miejsce w społeczeństwie. — Przyznacie mi Szanowne Czytelniczki, że w przyjemniejszy sposób trudno zawierać znajomości. Szkoda tylko, że na prowincyi, nie znając Krakowa, nie możecie mieć pojęcia ani o linii A. B. ani o powagach — ani o młodzieży bezikowéj. Wielka szkoda!

---

*** **Opis Krakowa** przez Fr. Mikulskiego. Powtórne w krótkim czasie wydanie téj książeczki świadczy, że według najlepszych źródeł treściwie i wygodnie jest ułożona. Jestto najlepszy podręcznik dla chcących się zapoznać z Krakowem i okolicami jego. — W przyszłém wydaniu należałoby dodać: krótką porównawczą tabelkę pieniędzy, ceny jazdy koleją i telegramów, wykaz pism czasowych i uzupełnić wykaz instytucyj.

*** Pan Marceli Krajewski pisze nam, że wkrótce nadeszle na wystawę tutejszą prace śp. Artura Grotgera — jako miłéj wiadomości dla nas, spełnienia takowéj oczekujemy niecierpliwie.

---

## Korespondencja „Kaliny".

P. **M. Kloruskiemu** w Jaśle: Kalina została wysłaną pod adresem „W. Pni Karolina Miazgowa w Czeremnéj, p. Jasło". — Papiery prosimy odesłać redakcyi.

P. **Cichockiéj** w Chorkowie p. Krosno: Trzy razy wysyłaliśmy Kalinę pod adresem Pani — ostatni raz 1go i 6go lutego, adresując „W. Cichocka w Chorkowie, p. Krosno". Prosimy więc upomnieć się o takową na poczcie.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1869.